

Kiljański, Józef

Wspominam Henia

Przegląd Pruszkowski nr 1, 103-111

2010

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspominam Henia

Czy wszystko pozostanie tak samo, kiedy mnie już nie będzie? Czy książki odwykną od dotyku moich rąk, czy suknie zapomną o zapachu mojego ciała? A ludzie? Przez chwilę będą mówić o mnie, będą dziwić się mojej śmierci – zapomną. Nie łudźmy się, przyjacielu, ludzie pogrzebią nas w pamięci równie szybko, jak pogrzebią w ziemi nasze ciała. Nasz ból, nasza miłość, wszystkie nasze pragnienia odejdą razem z nami i nie zostanie po nich nawet puste miejsce. Na ziemi nie ma pustych miejsc.

— Halina Poświatowska
Opowieść dla przyjaciela

Nie przyjmuję do wiadomości gorzkich słów poetki. Wszystko mi się przeciwko jej filozofii śmierci buntuje. Tak niedawno odszedł Henryk, postać wiele znacząca dla okresu mojej młodości, postać, która w znacznej mierze ukształtowała moje widzenie świata. Byliśmy blisko siebie od najwcześniejszych lat. Przez szereg lat mieszkaliśmy w jednej kamienicy w Pruszkowie, przynajmniej jedne przedwojenne wakacje rodziny nasze spędzały wspólnie w Łaskarzewie koło kościuszkowskich Maciejowic, rodzinnej miejscinie, skąd pochodziły nasze matki. Mieliśmy wspólnych znajomych, wiedzieliśmy o sobie prawie wszystko. Jego narożny gabinet w mieszkaniu na pierwszym piętrze na Stalowej – to były moje uniwersytety. I ja, i moja siostra Halina-

ka przepadaliśmy, gdy schodzili się u Henia jego koledzy. Jakie ciekawe rozmowy były wtedy prowadzone! Niestety, starsi od nas o lat kilkanaście panowie zazwyczaj nie tolerowali obecności dzieci. Wyrzucano nas bez ceremonii, sposobem siłowym i nie pomagał płacz ani awantury.

Henio stanowił dziwny przypadek socjologiczny. Urodzony i wychowany w skromnych warunkach (ojciec początkowo był kolejarzem), w środowisku proletariackim, później wbrew wrodzonym uzdolnieniom i predylekcjom, zmuszony do wykonywania zawodu rzemieślniczego, miał zamiłowania i zainteresowania ekskluzywne i nawyki bynajmniej nie rzemieślnika, raczej klerka – intelektualisty. Chodził do filharmonii na wszystkie ważniejsze koncerty, kochał teatr. Gdy tylko osiągnął samodzielność materialną, kupował mnóstwo książek, w tym także – słuchajcie, słuchajcie – tomiki poezji. Poezje zawsze wychodziły w małych nakładach, czasem po 80 – 100 egzemplarzy. On kupował tomiki poetów już w okresie szkolnym i na poezji znał się tak, że mógłby być recenzentem. Kto w naszym Pruszkowie mógł, poza nim, jeszcze kupować wiersze? Pani profesor Ostrowska, z racji swych zawodowych zainteresowań? Ja tam wtedy w tym jego zacisznym gabinecie przeczycie, nie mówię – że przeczytałem – Wierzyńskiego i Lechonia, i „Jarmark rymów” i oktostychy Iwaszkiewicza i oczywiście Kowalczyka, który był jego przyjacielem. Poza tym Henryczek kupował czasopisma literackie, wcale nie tanie – zawsze u niego można było przejrzeć „Wiadomości Literackie” lub „Prosto z mostu”. Książki kochał i pięknie je oprawiał u dobrego introligatora. Stały potem ułożone bardzo estetycznie w biblioteczkę, a ja mogłem je wertować do woli. Dzięki temu wcześniej poznawałem „Jutro na Madagaskar” i „Nafta rządzi światem” i reportaże z czerwonej Rosji Otmara Bersona, ale i – jako czternastoletni chłopak! – obscena Emila Zegadłowicza, przy lekturze których płonęły mi uszy. Utknąłem na modnym wówczas Prouście, który nie dawał się już przeczytać, choć się mocno przykładałem, słysząc o nim

same ochy i achy. Henryk nigdy nie odmawiał sobie zakupu książkowej nowości, zwłaszcza, gdy dotyczyła interesującej go dziedziny i nie żałował na nią pieniędzy. Nie był przy tym abnegatem, gdy szło o sprawy mody – wręcz przeciwnie. Kręciły się przy nim – och, jakie! – dziewczyny. Swą pierwszą żonę, Hanke, poznał zresztą później. Opowiadał wręcz nieprawdopodobną historię,



że zetknął się z nią zwiedzając zakopiańską Harendę, a pani Marusia Kasprowiczowa stawiając im kabałę wywróżyła, że będą parą. Kto chce, niech wierzy. Materialnie usamodzielniał się po ukończeniu szkoły średniej, gdy uzyskał pracę w firmie farmaceutycznej, w której miał stosunkowo niezłe zarobki. Pierwsze co wtedy zrobił, to był zakup aparatu fotograficznego. Właśnie nastąpiła epoka szybkostrzelnego małoobrazkowego aparatu, łatwego i niezawodnego w obsłudze. Na „Leicę” nie było go może stać, więc poprzestał na „Retinie I”. Pracowano już na znakomitych materiałach „Agfy” – zdjęcia, jakie robił, były niezrównanej jakości, świetnie trzymają się do dnia dzisiejszego. Z tego czasu datują się jakieś jego wakacje w górach. Przywiózł sobie wtedy fotografię górala o drapieźnym profilu, z orlim piórem na kapeluszu, na tle mrocznego masywu Trzech Koron czy Sokolicy w Pieninach. Ten obraz fotograficzny oprawił za szkłem – wisiał on dziesiątki lat w jego mieszkaniu, co świadczyło, że lubił na niego popatrzeć. Na fotografice ten młody chemik a później kaletnik – znał się! Pamiętam, jak w czasach okupacji, przeglądając niemiecki dwutygodnik „Die Wehrmacht”, zachwyił się zdjęciem na tytułowej stronie, na które ja w ogóle nie zwróciłem uwagi. „Patrz, takie fotografie to dzieło sztuki” Przedstawiała rozległy pusty krajobraz, z zarysem miejskiej zabudowy na dalekim horyzoncie i sztafaż – mała postać żołnierza w przeciw-

deszczowej pelerynie. Nad tym wszystkim spiętrzyły się posępne i groźne zwaliska ciemnych chmur, o wszystkich możliwych odcieniach szarości. Dzisiaj aparat na kolorowe zdjęcia te niuanse czerni odbiera bezbłędnie, wówczas trzeba było umieć operować odpowiednimi filtrami. Praca była zatytułowana „Jesień 1942 na froncie pod Leningradem”, do dziś mam ją przed oczami. Tak jak zasady fotografiki, Henio pierwszy, jeszcze przed panem Prusakiem, profesorem w LO Zana, tłumaczył mi zasady impresjonistycznego widzenia świata, a sam miał nad biurkiem reprodukcję „Tancerki” Degasa i marzył, że w Paryżu, do którego ciągle się wybierał, przede wszystkim zwiedzi sale Luwru, w których wystawia się prace tego malarza baletnic i wyścigowych koni. Do Paryża nie pojechał, fotografikiem nie został i nie zdążył też studiować dziennikarstwa, na które zdawał już jakieś egzaminy czy testy. Kazano im wtedy opisać jakieś zdarzenie ze wszystkimi możliwymi szczegółami przy użyciu 500 słów, a potem znów to samo, ograniczając się do słów 50. Szkoda, że nie został dziennikarzem, jestem przekonany, że urodził się na żurnalistę i gazeciarstwo miał we krwi.

Przyszła wojna i wszystkie jego zamierzenia wzięły w łeb. Życie rzadko się ściele według upragnionego scenariusza. Ale w wojennych latach jego gabinecik nie stracił dla mnie atrakcyjności, jeszcze więcej znajdowałem tu frapujących niespodzianek i czytelnich pokus. Henio kupował mnóstwo prasy – polsko i niemieckojęzycznej, gromadził plakaty, ulotki, przeróżne inne dokumenty, rękopisy, historyczne egzemplarze gazet itp. Zebrało się tych papierzysków stos. Próbował przechowywać to w tapczanie, ale wciąż przybywało nowych. Jesienią, roku 1943 zamówił u introligatora wielgachną księgę z czystymi kartami, do której powklejał pracowicie uzbierany materiał tekstowy i ilustracyjny. Powstał oryginalny zbiór – album, który różni jego znajomi przeglądali z zainteresowaniem. Przedstawiona w nim była II wojna światowa, dzień po dniu. Czego tam nie znajdziesz?

Ciekawostką jest na przykład żołnierska gazeta sowiecka z 20 września 1939 bodaj, w której pewien major NKWD opisuje jak z kompanem, innym oficerem organów ścigania kontrrewolucji, przyjechał do siedziby Radziwiłłów w Nieświeżu. U wejścia do pałacu usiłował ich zatrzymać lokaj ksiązący, ale komandir rzekł mu takie słowa, że po ich usłyszeniu, tamten „zwinął się wprost ze strachu”. Pałac roił się od przeróżnych burżujskich typków cywilnych i wojskowych, pośród których byli uciekinierzy z Warszawy. Czerwony major natychmiast kazał zebrać całą znajdującą się w pałacu broń. Z różnych stron zamku zaczęto więc znosić sztucery i dubeltówki, karabiny i rewolwery. Kiedy już zbierał się tego w hallu niemały stos, sowiet groźnie pyta, czy to ma być „wsio”, bo jeżeli on coś jeszcze tu znajdzie... Na co jakiś drżący ze strachu krwio pijca pobiegł jeszcze do swego pokoju i przyniósł maleńki damski rewolwerek. Mówię o tym szczegółowo, ponieważ w żadnym opracowaniu nie spotkałem wzmianki na ten temat. Pamiętam również, że w tym Heniowym zbiorze osobliwości były kuriozalne prasowe efemerydy, na przykład egzemplarze gadzinówki, ostemplowane kotwicą Polski Walczącej i dywersyjne egzemplarze, rzekomo autentycznego „Nowego Kuriera Warszawskiego” relacjonujące przystąpienie Hiszpanii do wojny po stronie Niemiec i Włoch. Słowem – niesamowity „groch z kapustą”, godny Tuwima, który też zbierał podobne osobliwości.

Kiedy ja tak serdecznie szarogęsiłem się w Henryka pokoju i nawet w jego biurku, on sam w mieszkaniu rzadko się zjawiał. Gdy nie musiał iść do pracy, tkwił u sąsiada kolejarza, który zawsze był w rozjazdach i zostawiał mu puste mieszkanie. Później dowiedziałem się, że Henio trzaskał tam na przebitkowym papierze tasiemcowe raporty wywiadowcze. Litościwa Ciocia Marynia ilekroć się u nich zjawiłem, wpuszczała mnie do pokoju Henia i mogłem sobie buszować w papierzyskach ile dusza zapragnie. Ona sama w kuchni miała magazyn towarów,

bo handlowała en gros tytoniem i wyrobami tytoniowymi. Stale ktoś przychodził za interesami lub przyjeżdżał z trasy. Kolejarze przynosili jej bele tytoniowych liści szmuglowanych z Lubelszczyzny, które ona dawała do pocięcia a następnie puszczała w dalszy obieg. Jakiś inżynier, który nie chciał pracować dla Niemców, skonstruował w domu maszynę, która bardzo pięknie cięła liście na małe zwitki, jeszcze ładniej niż w fabrycznej wytwórni. Cała armia chałupników napełniała tym bibułki z firmowymi nadrukami i ktoś przypalał końce gorącym żelazkiem, by papierosy nie wykruszały się. (Pamiętam, że domena gilz i bibulek należała do oryginalnego Karaima z Troków, pana Jutkiewicza). Całą tę produkcję pakowano w pudełka i na okupacyjny czarny rynek wychodziły oryginalne „Mewy”, „Egipskie”, „Weichsel” i „Juno”. Dzięki tak zorganizowanej pracy mnóstwo ludzi utrzymywało się.

W pokoju Henia przez większą część roku panował ziąb arktyczny, wszystkie okupacyjne zimy były bowiem wyjątkowo mroźne, a z opałem, wiadomo, było gorzej niż źle. Siedziałem więc tam w palcie i w czapce, ale to było bez znaczenia i zupełnie mi nie przeszkadzało, ponieważ mogłem czytać rzeczy tak cudowne, jak na przykład „Dywizjon 303” Fiedlera, przysłany prosto z Anglii, albo tak niezwykle, jak wiersze Władysława Szlengela – wyniesione wprost z getta, w kartkach których jeszcze zalegał odór spalenizny. Nie powiodło mi się natomiast z Haśkiem. Zacząłem w pewne sobotnie popołudnie czytać jak zwykle, pośpiesznie „Przygody dobrego wojaka Szwejka”, zarykując się od śmiechu. Oczywiście nie dało się to skończyć na jednej sesji, więc kochane ciotczysko pozwoliło mi wszystkie tomy wziąć do domu. W niedzielę raniutko przyjechał do nas do Duchnic na rowerze Edek Wiktorzak, przyjaciel zabaw podwórkowych, którego później wykończono w Mauthausen. Przywiózł lakoniczną karteczkę do Mamy: „Franiu, zabierz Józiowi książki, które mu dałam, bo Henryk mówi, że to straszne świństwa.” Ze zdziwieniem zauważam jak w międzyczasie zmieniła się oce-

na tego co jest dopuszczalne a co nie. Dzisiaj Szwejka można by chyba czytać już w przedszkolu. To tak na marginesie. Ale spośród tych wszystkich lektur u Henia najciekawszy był jego dziennik.

Ze wstydem wyznaję, że dorwałem się do tego pamiętnika bezprawnie, bezwstydnie i bezczelnie, bez zgody i wiedzy właściciela. Mówię o tym dzisiaj rumieniąc się, ale i z pewną dumą, gdyż, jak się zdaje, byłem jedynym czytelnikiem tych cymeliów. Po latach zresztą, gdy byliśmy już na stopie – powiedziałbym – koleżeńskej, przyznałem mu się, że pozwoliłem sobie wejść w sferę jego intymności. Nie gniewał się i przyjął to obojętnie. O ile pamiętam, Henryk swoje zapiski zaczął prowadzić z końcem 1939 roku i doprowadził je do roku 1944, kiedy to – jak mi powiedział – zagrożony rewizją, musiał dziennik spalić. Było tego kilka brulionów zapisanych drobnym pismem. Notatki obejmowały tematykę życia codziennego, relacje i rozważania na temat wydarzeń wojennych oraz uwagi na marginesie lektur, czasem niesłychanie obszerne i z cytatami. Gdyby te memuary ocalały, byłoby co czytać!

Moje przyznanie się do grzechu nastąpiło w okresie, gdy kończył już pisanie „W cieniu Warszawy”. Ta jego pierwsza książka miała być pierwotnie relacją o walce komórek kontrwywiadu „Obroży” z Gestapo i jego konfidentami, opisywała zdarzenia nawet chyba i dzisiaj mało znane. Z różnych przyczyn, o których nie będę mówił, została jednak przeredagowana i ostatecznie zamieniła się w historię niemieckiej okupacji w Pruszkowie. Henryk w tym czasie był samotny, dysponował wolnym czasem i materialnie miał się nie najgorzej, był po poważnej kontuzji ortopedycznej, chodzenie sprawiało mu trudność. Ja miałem samochód, więc sporo czasu spędzaliśmy razem. Jeździliśmy zatem po miejscach pamiętnych nam z lat młodości, najczęściej także w towarzystwie mej żony – Tereni. Pamiętam, że raz i drugi byli-

śmy w miłym naszym sercom Łaskarzewie. Przed wojną w łaskarzewskim tak zwanym Królewskim Lesie rosły drzewa prastare, może nawet jagiellońskie, jak mówiono na Litwie i tak piękne, jakich gdzie indziej nie widziałem. Na śródleśnym cmentarzu, w płataninie obnażonych korzeni pokrzywionych sosen, znajdowały się groby naszych dziadków, Wincentego i Katarzyny Wójcików. Zmarli w czasie I wojny w krótkim odstępie czasu na tyfus, który dziesiątkował ludność strefy przyfrontowej. Zostawili siedmioro dzieci, którymi zaopiekowali się sąsiedzi i różni kuzyni. Ciocia Marynia, najstarsza z czterech córek, starała się jak mogła zastąpić rodzeństwu matkę.

Takich wycieczek emocjonalnych z Henrykiem zrealizowaliśmy kilkanaście. Byliśmy na przykład razem w Kazimierzu i Puławach – zajrzeliśmy przy tym do Kozienic, gdzie nad Wisłą staraliśmy się – bezskutecznie zresztą – ustalić miejsce stanowiska bojowego baterii Ojca w czasie sławetnej kontrofensywy 1920 roku. Innym razem pojechaliliśmy do Krzyczkowa, ich dawnej rodowej wioski, gdzieś pod Nasielskiem na malowniczych piaseczkach położonej oraz do zawsze uroczego Pułtuska, gdzie w więziennej wieży na rynku jego dziadek był trzymany przez wiele miesięcy za udział w powstaniu. Na Sybir ostatecznie nie trafił, ale cały majątek bez reszty przetracony został na adwokatów i łapówki. Chodziliśmy potem po starych pułtuskich koszarach 13 pułku piechoty i po łęgach nad Narwią, gdzie w czasie nauki w podchorążówce i on i jego koledzy wylewali siódme poty. Pamiętam też, że razem pojechaliliśmy na pogrzeb Iwaszkiewicza chowanego w Brwinowie. On go znał osobiście. Z humorem opowiadał jak w roku 1947, względnie 1948, gdy był na Stawisku, zdejmował mu palto autentyczny lokaj, który spojrzął na niego z wyrzutem, ponieważ miał w palcie zerwany wieszak, czy też jak mawiają w Galicji – hycla.

A poza tym ten niezwykły rzemieślnik – kaletnik musiał

być na każdym ważniejszym koncercie w filharmonii i na każdej kolejnej sztuce w warszawskich teatrach. Swego rodzaju spółka, w której ja zapewniałem transport a on bilety, działała bezbłędnie, dzięki czemu mogliśmy wspólnie obejrzeć czołowe pozycje ostatnich dwudziestu lat PRL-u, stanowiących, jak wiadomo, złoty okres polskiego teatru. I tak w Ateneum podziwialiśmy „Wielkiego Fryderyka” ze wspaniałymi kreacjami Świderskiego i Machowskiego, i ekstrawagancko wystawioną przez Hanuszkiewicza „Balladynę” z japońskimi motorami śmigającymi po scenie. Pamiętam wielkie hübnerowskie inscenizacje w Powszechnym: „Sprawa Dantona”, „Lot nad kukułczym gniazdem” (Wilhelmi!), „Czarownice z Salem”; „Amadeusza” w Teatrze na Woli z Łomnickim i Polańskim, „Miesiąc na wsi” Turgieniewa w Teatrze Małym z tak miłą oku scenografią... On bilety na przedstawienia załatwiał dzięki znajomościom i przyjaźniom z aktorami. Heniowi zawdzięczamy także, że mogliśmy uczestniczyć w wytwornych wernisażach, jakie profesor Lorentz urządzał w swoim muzeum dla wybranych gości.

JK